NORWEGIA GRENLANDIA WYSPY OWCZE ISLANDIA



ZBIGNIEW SZWOCH

Z WIOSŁEM I WIATREM KAJAKIEM PO WODACH PÓŁNOCY

BookEdit

ZBIGNIEW SZWOCH



Z WIOSŁEM I WIATREM

Kajakiem po wodach Północy

Norwegia • Grenlandia • Wyspy Owcze • Islandia

BookEdit

Copyright © Zbigniew Szwoch, 2022

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Ilustracje na okładce: © Zbigniew Szwoch

Redakcja: Alicja Kliczek

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-66995-67-3

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075
e-mail: redakcja@bookedit.pl
www.bookedit.pl
facebook.pl/BookEditpl
instagram.pl/bookedit.pl

Mojej Muzie

WSTĘP

16 sierpnia 2017 roku. Moja trzecia wyprawa na Grenlandię. Ten dzień ma być kluczowy w perspektywie dotarcia do Qaqortoq, największego miasta na południu wyspy. Dwa dni później helikopterem polecę stamtąd w pobliże fiordu Tasermiut, którego okoliczne góry, wraz z całym majestatem, nie bez powodu nazywane są arktyczną Patagonią. Ruszam, jak zwykle, o ile tylko pozwala pogoda, bladym świtem. Poranne rytuały: pobudka, śniadanie, pakowanie ekwipunku. Ten dzień nie ma różnić się diametralnie od innych podczas wyprawy. Około czternastej woduję ponton przy lodowcu Jespersen. Jest słonecznie, dość ciepło, choć ze względu na brak wiatru mocno dają się we znaki meszki i komary. Ot, krótkie subarktyczne lato. Nadchodzi czas odpoczynku po kilku godzinach marszu. Lekkim, niewiele ponad trzykilogramowym *packraftem* płynę sprawnie w dół rzeki. Dwie godziny później następujące po sobie wydarzenia wywracają moje życie do góry nogami.

Wypływając zza zakola, rzeka w oka mgnieniu zmienia się w rwący potok; jest na tyle szeroko, że nie mam najmniejszej szansy na dobicie do brzegu. Mój błąd na etapie planowania wyprawy może przynieść tragiczne w skutkach konsekwencje. Wiem, że zapamiętam ten widok. Proszę wszelkie siły nadprzyrodzone o wsparcie. Kaskady zwiastowały nadchodzące piekło. Staram się wznieść na wyżyny kajakarskich umiejętności, lecz na nic się to zdaje. Wpadam do wody w ciuchach trekkingowych. Mam oczywiście kamizelkę, lecz od samego początku lodowate bystrze miele mnie niemiłosiernie. Nie mam poczucia czasu. Raz po raz uderzam o skały nogami, tułowiem, głową. Co chwilę tracę i odzyskuję przytomność. W końcu widzę swoje ciało z góry, do tego strzępy wspomnień z wczesnego dzieciństwa…

Czyli tak to wygląda? To jest to słynne przejście na drugą stronę? Mam dopiero 31 lat. Nie złość, a smutek i rozczarowanie pulsują w mojej głowie. Tyle spraw niezałatwionych, niezrealizowanych… Zawiodłem. Zapadam się

w sobie, mam dziwne halucynacje. Czy jeśli nie czuję bólu, to mam już wszystko za sobą?

Budzę się na lewym brzegu rzeki. Nie umarłem. Jeszcze. Ale nie mam nic, poza kamizelką i mokrymi ubraniami. Ponton z plecakiem i wiosłem odpłynął w siną dal. Adrenalina działa i nie czuję odniesionych obrażeń. Intuicja i wcześniejsze rozeznanie podpowiadają, że nieopodal miejsca wypadku powinna być osada – Søndre Igaliku. Idź przed siebie, nawet na czworakach. Jeśli to konieczne, czołgaj się. Gdy nadejdzie noc – zamarzniesz.

W oddali widzę chatkę. Jeszcze trochę dam radę. Drzwi otwarte, nie ma nawet zamków. W środku nikogo. Zrzucam tylko z siebie mokre ciuchy, zawijam zziębnięte ciało w koc i zasypiam. Budzę się, nie wiem po jak długim czasie. Coś jest nie tak, nie mogę się ruszyć. Obrót na drugi bok jest prawie niemożliwy. Przestaje działać adrenalina, zaczynam czuć obrażenia: przebite przez żebra płuco, złamany obojczyk. Do tego nie widzę na jedno oko. Nieopodal łóżka dostrzegam lustro, a w nim moją twarz – jest w połowie czarna. Makabryczne odbicie. To efekt powtarzających się uderzeń o skały. Postanawiam przeczekać, nie ruszać się zbyt dużo. Sikam z łóżka na podłogę. Mocz ma kolor podobny do upiornej połowy mojej twarzy, co świadczy o odwodnieniu. Po południu pojawia się głód, próbuję znaleźć cokolwiek do jedzenia. W chatce jest jakaś puszka. Nie ma wody, ale znajduję kwasek cytrynowy. Z powrotem nad rzekę z pewnością nie dojdę. Postanawiam poczekać tu kilka dni, może ktoś się pojawi. Do tego czasu chyba przeżyję. Przez okno, w oddali, widzę jakieś zabudowania. Jeśli nikt nie przyjdzie, w końcu będę musiał pójść w ich kierunku.

Druga noc w chatce. Ból jest ciągle silny, śpię z przerwami, po godzinie, maksymalnie dwie. Nad ranem w drzwiach pojawia się człowiek. W jego oczach widać przerażenie. Nie wiem, czy dlatego, że ktoś włamał się do jego domu, czy może na widok mojego stanu. Czuję pod skórą, że to drugie. Człowiek nie mówi po angielsku, a mój grenlandzki to parę zwrotów, głównie grzecznościowych. Z mojej strony pada uniwersalne *sorry* – skrucha, przeprosiny za wtargnięcie i bałagan. Grenlandczyk sprowadza inne osoby z wioski. Dwie dziewczyny mówią dość dobrze po angielsku. Opowiadam w skrócie o całym zdarzeniu. Dostaję jedzenie i herbatę. Ponadto dzieje się rzecz niesłychana – okazuje się, że nad brzegiem rzeki miejscowi znaleźli mój plecak.

Na początku mojej opowieści wspomniałem o mieście Qaqortoq. Cóż, okazało się, że dotarłem tam, tylko nieco inaczej niż planowałem. Pomocni mieszkańcy Søndre Igaliku zadzwonili do szpitala, jedynego na południu

Grenlandii. Motorówką, omijając góry lodowe, przypływają duński lekarz i pielęgniarka. Na miejscu stwierdzają krwawienie w płucu i konieczność operacji. Powrotna droga do Qaqortoq przez fiord Igaliko trwa około dwóch godzin. W porcie czeka karetka, a w kameralnym szpitalu, na sali – cały personel. Doktor nacina skórę po lewej stronie klatki piersiowej. Znieczulenie mam wyłącznie miejscowe, więc na chwilę tracę przytomność. Po wszystkim słyszę: „Przestraszyłeś nas tym odlotem". Mam wprowadzony do płuca dren w celu usunięcia płynu. W szpitalu spędzam tydzień, przez pierwsze pięć dni jako jedyny pacjent. Istne oczko w głowie miejscowego personelu. Wybitnie mi dogadzają: zupa z foki, ryby w różnej postaci, ciasta. Dopiero gdy stawiam pierwsze kroki, zaczyna do mnie dochodzić, co się stało. Nadszedł czas, by przekazać wieści najbliższym…

Nie będę udawał, rozmowa była trudna. Potem nie brakowało łez i pytań do samego siebie: czy wrócę do pełnej sprawności? Czy zrośnie się złamany obojczyk? Czy będę mógł normalnie pracować? Czy kiedykolwiek o własnych siłach będę mógł pływać kajakiem? Czy ja w ogóle chcę jeszcze wracać na Północ?

Kajak i Północ

Gdy ktoś mnie pyta, skąd wzięła się fascynacja Północą, rozkładam ręce. Nie mam na to pytanie konkretnej odpowiedzi. Nie przepadam za zimnem, jednak bezludne tereny, puste krajobrazy, które lubię najbardziej, znajdują się najczęściej w miejscach, gdzie warunki do życia – w tym temperatura, a także ukształtowanie terenu – nie są korzystne dla człowieka.. Żadne odkrycie. Północny świat zaczął mnie pewnego dnia najzwyczajniej w świecie fascynować.

Jakiś czas temu odkryłem kolejną przyczynę mojego zamiłowania do wypraw na Północ. Od dziecka moje zainteresowania krążyły wokół planet i gwiazd, ale też zawsze z fascynacją wpatrywałem się w skład złomu mieszczący się niegdyś przy ulicy Elbląskiej w Gdańsku. Po latach doszedłem do wniosku, że pomiędzy odległą galaktyką a złomowiskiem znajduje się właśnie Północ. Z całym jej majestatem. Wybaczcie, jeśli moja odpowiedź jest rozczarowująca.

Pozostańmy jednak jeszcze chwilę nieopodal Elbląskiej. Przed modernizacją krajowej „siódemki", budową południowej obwodnicy Gdańska, a także tunelu pod Martwą Wisłą, gdy chciało się jechać w kierunku Warszawy przez Elbląg – niezbędny, a także długo wyczekiwany, był przejazd koło złomowiska. Dalej już tylko sto trzydzieści kilometrów do Tardy. Pierwsze piętnaście lat mojego życia to coroczne wakacje pod namiotem na Mazurach. Góra wspomnień na osobną książkę. Wieczorne ogniska, wędkowanie, grzyby, pierwsze piwo, zielone światło od taty na używanie siekiery. Pamiętam też, gdy wraz z bratem wpadliśmy w gniazdo os i węgorza, który w ostatniej chwili bezczelnie zerwał się z haczyka, gdy wszystkim dookoła zdołałem już obwieścić swój sukces.

Były też kajaki, które uznaję za nasz rekreacyjny sport narodowy. Nie byłem od razu oczarowany wiosłem, ale z każdymi wakacjami fascynacja poznawaniem świata od strony wody zapuszczała korzenie coraz głębiej. Czasu i możliwości do rozwijania umiejętności kajakarskich było co niemiara, choć głowa wystawała mi jedynie lekko ponad kokpit. Na jeziorze Bartężek znajduje się kilkanaście wysp. Każda została owiana stosowną



Nad jeziorem Bartężek, Tarda.

legendą, od kormoranów odlatujących w rytm piosenki Piotra Szczepanika, po rekiny ludojady i tygrysy szablozębne koczujące przy ujściu do jeziora Ruda Woda. Wyobraźni niektórym wujkom pozazdrościłby sam Hans Christian Andersen.

Polskie rzeki są dzikie i piękne, w większości nieuprzemysłowione. Te na północy kraju dane mi było poznać bardzo dobrze. Wda, Brda, Drwęca, Krutynia, Drawa, Czarna Hańcza, Gwda, Wel, Słupia i kilka innych. Na wielu odcinkach tych rzek można się poczuć jak na Amazonce, dotrzeć w miejsca, gdzie przyroda jest nietknięta. O ile góry mamy w Polsce tylko na południu, tak rzeki każdy może znaleźć w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od miejsca zamieszkania. Górskie i nizinne, wolno meandrujące lub zwałkowe, wąskie strużki oraz szerokie autostrady wodne.

Kajakowy zwrot w moim życiu nastąpił jednak, co kuriozalne, nie z wiosłem w ręku, a podczas marszu. Sierpień 2014 roku, moja pierwsza większa, a do tego samotna wyprawa z plecakiem. Wędrówka szlakiem Arctic Circle Trail na Grenlandii. Po dziewięciu dniach, gdy ukończyłem marsz, siedząc

w hostelu w Sisimiut, drugim, co do liczby ludności „mieście” na Grenlandii, poznaję Austriaka polskiego pochodzenia. Gada się miło, jednak gość jest czymś wybitnie rozczarowany. Okazało się, że jego kajak, przez zawirowania na lotnisku, nie doleciał na Grenlandię. Nie był to żaden „sztywniak”, jak potocznie nazywa się tradycyjne kajaki, a „dmuchaniec” – kajak pneumatyczny.

Od tego momentu zupełnie inaczej spojrzałem na moje wyprawy. Oczywiście, minęło trochę czasu, zanim zdążyłem wszystko przetrawić, a także nacieszyć się faktem samego przejścia Arctic Circle Trail. Czyli w przyszłości tak naprawdę kajak mógłby polecieć ze mną, myślę. Może nawet na Grenlandię?

Styczeń 2016 roku, święto Trzech Króli, Gdynia. W sieci znajduję ogłoszenie – używany, dwuosobowy kajak pneumatyczny w okazyjnej cenie. Gdy oglądam zdjęcia, staram się zachować sceptycyzm, ale po chwili dochodzi do mnie, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Sprzęt nie jest nowy, ale w zadowalającym stanie. Wiosną planuję opłynąć Wyspę Sobieszewską, więc będziemy mieli okazję poznać się nieco bliżej. Coś czuję, że „docieranie” nie potrwa zbyt długo.



Żeglarstwo

Początek lat dziewięćdziesiątych. W słoneczne popołudnie wraz z bratem i tatą jedziemy do gdańskich Górek Zachodnich. Tam, pod okiem trenera Krzysztofa Zawalskiego, zaczęła się żeglarska przygoda mojego starszego brata, Piotra, która trwa do dziś, i to ze sporymi sukcesami, przygodami i grupą wspaniałych ludzi, których przez ten czas poznajemy.

Moja droga, przynajmniej na początku, nie może być inna. Łódki klasy Optymist to niewielkie jachty przeznaczone dla najmłodszych, maksymalnie do piętnastego roku życia. Kadłub przypomina nieco przerośniętą wannę. Większych sukcesów jednak nie udaje się odnieść. Okazuje się, że nie tędy prowadzi moja droga. Jest za to kilka powodów do radości: poznanie zasad, na jakich „działają" żagle, spotkanie świetnych trenerów, nauka szant, zdobycie paru medali w zawodach mniejszej rangi. Dużo emocji. Niestety, kolejne rozczarowania na regatach sprawiają, że mimo bardzo młodego wieku decyduję tymczasowo skończyć żeglarskie zmagania. Gram też w piłkę w gdańskiej Lechii pod okiem trenera Michała Stachowiaka, i tam przenoszę swoje siły, pasję i zaangażowanie na kolejne dwa lata.

Trochę czasu mija, nim żagle powoli wracają do mojego życia. Na obozach w Pucku, organizowanych przez kapitana Andrzeja Mizgiera i jego rodzinę, zdaję egzamin na patent żeglarski, uczę się większości węzłów i wygrywam w cuglach niejedne regaty. Powoli uświadamiam sobie, że nie wszystko jednak zapomniałem. Może na nowo złapię wiatr w żagle?

Gdy osiągam pełnoletność, ruszamy na podbój mazurskich jezior. Ekipa jest młoda, spontaniczna, zdolna do podbicia świata. Wyjazdy kropimy procentami, lecz w granicach rozsądku. Ogniska do bladego świtu przy dźwiękach gitary, abordaż z jachtu na jacht czy zawody „im później, tym lepiej", jeśli chodzi o złożenie masztu przed mostem – to najczęstsze inicjatywy, jakie przychodzą mi do głowy. Jestem ciekaw, czy prawnicy, lekarze, inżynierowie, na których wyrosły tamte dzieciaki, będą zdolni do reaktywacji tamtych aktywności. Może gdy ich dzieci podrosną?

Gdy pływałem kajakiem po Norwegii, Grenlandii czy rodzimych akwenach – szczególnie w samotności i gdy ramiona odmawiały posłuszeństwa – po głowie chodziły mi myśli, czy nie dałoby się kiedyś wesprzeć wiosła żaglami.



Łódki klasy Optymist - dla najmłodszych adeptów żeglarstwa.

Kajak znaczy wolność

Przychodzę na świat w Gdańsku. Jest rok 1986, mroźny luty. Dzień po moich urodzinach Rada Ministrów postanawia, że w zakładach, ważnych dla gospodarki, użyteczności publicznej oraz obronności kraju wolno wydłużać czas pracy do ośmiu godzin na dobę. Poza tym nic się nie dzieje. Wszyscy pozamykani w domach.

W tamtym czasie w Polsce hulają prawdziwe zimy. Nikt się nie spodziewa, że za 25–30 lat będziemy rozmawiać o zmianie klimatu, topniejących lodowcach, śladach węglowych. Tamtego dnia prawdopodobnie nikt, prócz naukowców i pisarzy science fiction, nie myśli o tym, co będzie, a tkwi w tym, co jest. Niewiele brakuje, by zima utrudniła moje przyjście na świat. Mama obwieszcza tacie, że to już czas, trzeba jechać do szpitala. Sfatygowany fiat 126p w mroźną noc odmawia posłuszeństwa, ale po wielu próbach odpala. Udaje się przez zasypany Gdańsk dotrzeć do szpitala przy ulicy Klinicznej, poród przebiega sprawnie i szybko, lecz efekt nie do końca jest zgodny z oczekiwaniami. Będąc drugim dzieckiem rodziców, miałem przyjść na świat jako dziewczynka.

Ponad dwa miesiące później wybucha reaktor elektrowni w Czarnobylu i niebo stopniowo zasnuwa radioaktywna chmura. W gronie najbliższych z przymrużeniem oka spekuluje się, czy moje 187 centymetrów wzrostu, wyróżniające się na tle rodziny, to nie zasługa zbyt długiego leżakowania na balkonie w kołysce na gdańskiej Morenie. Ale nie ma co narzekać. Może jedynie na to, że na paru zdjęciach z dzieciństwa mam „palemkę" na głowie. W końcu miałem być dziewczynką. Na szczęście rodzice szybko zaakceptowali, że mają drugiego syna, i obyło się bez lalek i ubierania w sukienki.

Nie pamiętam czasów, kiedy z Gdańska po zamarzniętej Zatoce można było przejść pieszo na Półwysep Helski, ale transformacje ustrojowe w Polsce miały już miejsce w czasach mojego wczesnego dzieciństwa. Dopiero jako dorosły człowiek uświadomiłem sobie, co tak naprawdę działo się wtedy w Gdańsku.

W czasach, gdy główną rolę odgrywała jedyna słuszna partia, nie było tanich lotów, otwartych granic, Internetu, telefonów komórkowych i swobody przemieszczania się. Młodzi ludzie lgnęli do kół studenckich czy organizacji

sportowych, które z jednej strony były swoistym centrum życia towarzyskiego, a z drugiej, w dalszej perspektywie, stwarzały możliwość wyjazdu i zobaczenia niedostępnego świata. W Polsce najgłośniej było o klubach wspinaczkowych. Młodzi polscy taternicy, wytrenowani na rodzimych ścianach, stopniowo podbijali alpejskie szczyty, by w latach 80. i 90. wieść prym w Himalajach i Karakorum. Ich podróże były powiewem wolności, kreatywności, tak głęboko tłumionych przez władze ówczesnego ustroju.

Mało kto o tym pisze, ale w tamtych czasach równie prężnie działały polskie kluby kajakowe. Zrzeszały setki młodych ludzi, którzy zdobywszy kondycję i umiejętności na krajowych rzekach, stopniowo zaczęli odkrywać nowe lokalizacje na mapach całego świata. Bałkany, Nepal, Afryka, Ameryka Północna i Południowa. Sprzyjało temu wynalezienie nowoczesnych kajaków poliwęglanowych, którymi zastąpiono toporne jednostki z włókna szklanego. Polscy kajakarze z klubu „Bystrze" jako pierwsi spłynęli, i zarazem rozsławili (między innymi na łamach „National Geographic"), Kanion Colca w Peru.

Dzień przed moim przyjściem na świat wyprawa pod kierownictwem Piotra Chmielińskiego dotarła do ujścia Amazonki. Był to finał ekspedycji, która rozpoczęła się sześć miesięcy i 6760 kilometrów wcześniej. Polacy spłynęli też słynnym Wielkim Kanionem Kolorado. Rozmowy z uczestnikami tamtych wypraw można obejrzeć na YouTubie w filmie *Kajakiem przez życie*.

W tych ciężkich czasach wspomniani wyżej himalaiści trudnili się w kraju głównie pracami na wysokości, które oficjalnie po dziś dzień określa się mianem alpinistyki przemysłowej. W przeszłości, głównie na południu, był to całkiem dobry sposób na relatywnie szybki zarobek. Ale, oczywiście, coś za coś.

Los sprawił, że od piętnastu lat wykonuję pracę, która trzydzieści lat temu przypadała w udziale zdobywcom światowych szczytów i wiem, że nie jest to zajęcie łatwe, lekkie ani przyjemne. Mimo to, szczególnie w czasach gdy połowa społeczeństwa siedzi za biurkiem, cenię ruch na świeżym powietrzu. Od lat niezmiennie przeraża mnie widmo ośmiu godzin przed komputerem czy smartfonem. Dlatego jestem wdzięczny, że ten sam los, który pozwolił mi pracować na wysokości, sprawił, że moją pasją stały się kajaki.

Kajak oznacza wolność. Wolność przemieszczania się, eksploracji i odkrywania. Obserwowania niedostępnych morskich jaskiń, nieoceniony kontakt z przyrodą. Zbliżania się do stworzeń przebywających w wodzie oraz tych, które korzystają z jej dobrodziejstw – od jelenia, który przyszedł się napić, przez bobra i jego powalone drzewo, które utrudniało nam spłynięcie rzeką, po mieszkańców morskich głębin, jak wieloryby i orki.



